

MAURYCY JOKAJ.

BIEDNA STARUSZKA.

WSPOMNIENIE Z CZASÓW MŁODOŚCI.

Dawno już, bardzo dawno temu.

Było to wtedy, gdy po raz pierwszy zaprowadzono mnie do szkoły, a urodziłem się w roku 1825.

Byłem wówczas tak małym chłopcem, iż ledwie spoglądać od ziemi i ciężki psalterz dźwigać mogłem, ujmując go oboma rękami.

Jednego dnia mój dobry ojciec zaprowadził mnie za rękę do strasznie dużego budynku z grubymi murami, sprawiającymi zawrót głowy kamiennymi schodami i nieskończonymi korytarzami.

O! jakimż olbrzymami wydali mi się starsi studenci! Iż musieli umieć z tego czego ja nie umiałem!

Mój dobry ojciec otworzył jedne z drzwi wiodących na korytarz i trzymając mnie za rękę, wpuścił przed sobą do wnętrza.

Trzysta dzieci w moim wieku siedziało tam na trzydziestu trzech ławkach. Straszliwe państwo, w którym jedynie dzieci mieszkają. Na ścianie wisiała niezwykle rozmiarów tablica z przerażająco wielkimi literami. Na tę wskazywał wyniośle spoglądający mężczyzna długą laseczką; a obóz dziecięcy wygłaszał: „a, b, ab, był tu drab, porusz go, on cię łap!” Gdy nas zobaczył ów pelen godności duży jegomość przy tablicy, schował laseczkę pod pachę i podszedł ku nam z ukłonem, S. p. ojciec mój powiedział, iż przyprowadza rekrutę, z którym atoli wiele trudu mieć nie powinien.

Mężczyzna pogłaskał mnie po gładko ostrzyżonej głowie i spytał jak się nazywam?

Odpowiedziałem: nazywam się „Maurycy”.

Roześmiał się. Szczególnie imię. Zawstydzilem się ogromnie.

Tamci chłopcy z pewnością będą się dziwić, iż kogoś nazwano Maurycy, zamiast jak przysioł Antoni, Jan, Stefan itp.

Duży mężczyzna, którego chłopcy podnoszący palce do góry „panem rektorem” tytułowali, odprowadził mego dobrego ojca do drzwi, poczem powrócił i umieścił mnie między ubranym w surducik i bosonogim studentem. Bosonogi był pierwszym; gdyż tu rangę stanowiła zasługa. Był bardzo poważny i obyczajny, a tak pilnie usiłował pomiędzy liniami okrągłe litery jedną przy drugiej ułożyć, że aż z wielkiej gorliwości oczy i usta otworzyły się szeroko.

Za to sąsiad w surducie był rozpuszczonym chłopcem. Zapamiętawszy cały zeszyt afiramentem zrobił z niego łapkę na muchy, wkładał tam jedną po drugiej, wzywając mnie do pomocy, czego za wszystkie skarby świata nie byłbym uczynił. Zaczął też szydzić ze mnie; mówił zawsze: „Mau-ryc” czego wstydzilem się nadzwyczaj a nie mogłem oddać mu zniewagi, gdyż nazywał się pojedynczo: Gyuri (mów Duri).

Potem przyszła kolej na czytanie. Rektor mnie także wywołał z ławki, a biorąc między kolana wskazał na elementarz i nader uprzejmie zażądał, żeby mu powiedzieć co tam są za litery? Myślał, że więcej nie umię!

Oho! moi kochani rodzice w domu już nauczali mnie czytać, pochwyliłem przeto elementarz oboma rękami i zacząłem szybko wygłaszać zawarte tam zdania jedno po drugim aż do zatrzymania oddechu. Pan Rektor pogłaskał mnie po głowie i rzekł, że rzeczywiście idzie już całkiem dobrze.

Płonęło mi oblicze, iż ledwie widziałem litery. Byłem potem nieraz chwalony, lecz nigdy żadna pochwała nie brzmiała w uszach moich tak słodko jak owa pierwszego mego nauczyciela, gdy płynnie z elementarza czytałem.

Achl a potem w domu jakże byłem przyjmowany! — jak po sławnym zwycięstwie powracający bohater! Ku czci mej ciotka upiekła tort ze śliwkami, służący zaś państwo z podziwem, gdy siedząc dumnie w morwowej altanie głośno uczyłem się katechizmu i ciekawych umiejętności podróznego: „Zwierciadła historii”, które u nas kalwinów w Węgrzech od wieków było używane.

Cóż się stało z trzystu trzydziestoma uczniami, którzy ze mną wówczas do pierwszej klasy w Komornie chodzili? Większej części z nich

nie widziałem już po wyjściu ze szkół nigdy. A gdy wyrosłem na takiego olbrzyma, jak oni byli wtedy, gdy przeskakiwali po cztery stopnie od razu ku memu podziwieniu, było nas zaledwie dwudziestu w wyższej klasie. Podczas tego czasu jednych zabrali szewcy i krawcy, innych znów śmierć skosiła itd.

Z owego całego tuzina jeszcze ten i ów chodzi ze mną do szkoły, do tej wszelako, gdzie najmłodszy mistrz: „życie” z nigdy niewyczerpanej księgi: „doświadczenia” nas poucza. Obecnie kilku i tę szkołę skończywszy, spoczywa cicho w łonie matki ziemi. Ci umieją już wszystko. Dwóch lub trzech żyje szczęśliwie, innym ciężko idzie, a o niektórych nie wiem nic zgola.

Jednego z rówieśników pamiętam bardzo dobrze, jakkolwiek w niższych klasach jeszcze mnie porzucił. Był to mój pierwszy sąsiad, mały Gyuri.

Był również żywym jak swawolnym. W spaniu się na drzewo, w łyżwowaniu, w naśladownictwie ptasich głosów, i w robieniu piórników nikt mu nie wyrównał.

A jak umiał zręcznie pokonać większych chłopców, którzy pobici z placem szli do rektora na skargę! Z jakim apetytem zjadał nie-dojrzałe brzoskwinie i jak bezlitośnie drażnił psy zbłąkana! Podziwiałem go, lecz w żaden sposób iść w jego ślady nie mogłem.

Byłem za bojaźliwy, żeby nie rzec za tchórzliwy do takich rzeczy. Podczas, gdy inne roztropniejsze dzieci grały w piłkę i biegały swobodnie, ja w najzaciszniejszym kątku naszego ogrodu budowałem domek z łodyg kukurudzanych, gdzie wsuwałem się z rozkoszą, bowiem wyrzynałem tam różne gatunki broni przeciw wymarzonemu nieprzyjacielowi i stawiałem pomniki pogrzebanym w małych dołkach jedwabnikom. Potrzebna do tej ceremonii dzwonnica miniaturowych rozmiarów stała obok, a napisy nagrobkowe, które układałem ślicznie do nich, jakoteż dla poległych bohaterów były w pogotowiu.

Jednego dnia w sobotę po południu, gdy nie było szkoły, kolega Gyuri odwiedził mnie w owej kukurudzowej fortecy, obok jedwabnikowych pomników.

Lecz zabawa moja nie przypadła mu do gustu.

— Jesteś zupełnie takim jak babcia moja — rzekł, kręcąc nosem — która także bawi się tylko trumnami, podobalibyście się sobie niezawodnie.

— Trumnami? — spytałem zdumiony.

— Tak — odparł Gyuri — ma nawet trzy trumny, w które kładzie się na przemianę ku naszemu przerażeniu. Wyciąga się jak nieżywa i oto tylko jeszcze się troszczy, czy ją wspaniale pochowają.

Ciekawość moja zaostrożona została w najwyższym stopniu, ucieszyłem się więc niemało, gdy Gyuri przy rodzicach zaprosił mnie na następne popołudnie do siebie i w istocie o oznaczonej godzinie przyszedł po mnie ze służącym.

Rodzice jego mieszkali w pięknym domu z zieloną bramą, gdzie rozjuszony lew trzymał w zębach pierścień od młotka. Wszystkie okna wychodzące na ulicę były zakratowane, drzwi zamknięte.

Długim korytarzem przez kuchnię weszliśmy do dziecinnego pokoju. Tu Gyuri natychmiast rozpoczął działalność swoją. Rozkazał pokojowej przynieść nam szybko podwieczorek, mianowicie: jabłek, ciastek, chleba z masłem i orzechów. Poczem wyjął zabawki, zapelniające kącik każdy: bebenki, szable, puszkę, armaty, białe bociany, beczące owce i nieznużenie grające pozytywki, z czego okazywało się jawnie, iż był gagatkiem w domu.

Zaledwie jednak ustawiliśmy pułk ołowianych żołnierzy w szeregu, gdy weszła pokojowa z poleceniem udania się do babuni. Gyuri poprosił oparł się rozkazowi. Czego babka chce od niego? Wszakże go dość często widuje. Dziś jest niedziela, dzień wolny, powinna mu przecie pozwolić pobawić się nieco.

Dziewczyna próbowała ująć go przemocą. Wtedy Gyuri wyjął miecz drewniany z pochwy i tak silnie uderzył ją po twarzy, że z płaczem odeszła.

Przeląknęłam się okropnie. Wyobraziłem sobie w jednej chwili straszliwy sąd, który się zbliża nad małym zloczyńcą „pochwyci go i powiesi”. Wszelako nic podobnego nie nastąpiło.

Owszem niezadługo ukazała się matka Gyuriego z najuprzejmniejszą twarzą a nie różgą.

Miała takie łagodne delikatne rysy, ach! i takie dobre, smutne oczy! Czułe prosiła go, żeby poszedł do babki, obiecała mu za to kanarka i całując go rzekła: „Jeśli mię kochasz, będziesz posłusznym”. A potem dodała, iż powinien się mię wstydzić, będąc tak upartym.

Słuchałem, stojąc przerażony. Ze mną w domu nie robiono tyle ceregieli.

W końcu obojgu nam dał się uprosić, i delikatna pani zaprowadziła nas przez szereg wspaniałych apartamentów do pokoju babuni.

Była to obszerna, lecz ciemna izba, z kwiecistymi, wyblakłymi firankami u okien, staroświeckimi szafami, oszklonemi i wysokimi czarną skórą obitymi krzesłami.

Nad czarną skórzaną sofką wisiały portrety pana i pani z odległej epoki. Pan miał na sobie szamerowany krótki węgierski surdut, pani spiętrzoną fryzurę z wstążką na czole.

W głębi pokoju w dużym, toczącym się na kółkach fotelu siedziała siwa staruszka. I ona także po staroświecku była ubrana w lewendowego koloru suknię z szerokimi fałdami i w wykrochmalonym czepku. Na czole miała zieloną umbrellę, która prawie zasłaniała jej całe oblicze. Siedziała, oparłszy wychudzone ręce na poręczach fotelu, a gdy drzwi otworzyliśmy, spytała żalosnym tonem:

— „Kto tu?”

Stara panna, długoletnia jej towarzyska odpowiedziała:

— Gyuri i Maurycy.

— Tak? — odparła uprzejmie i wyraziła żądanie zobaczenia bliżej nas.

Matka Gyuriego zaprowadziła nas ku niej. Oczy babuni były osłabione, przed wieczorem zaledwie postacie odróżnić mogła, zatem położyła nam obydwie ręce na głowach, macając takowe. Rozróżniła nas wybornie. To był Gyuri. To Maurycy. Ow miał gęste kędziory, moja zaś jasnowłosa głowa była gładko ostrzyżona. Potem ujęła nas za ręce. Cóż za siłę posiadały jeszcze te suche palce! Gyuri nie mógł się z nich wydostać. Musiał stać cicho i z babunią rozmawiać.

Staruszka w szczególnie dobrym była humorze. Pytała mnie o wszystko, co tylko mogłem wiedzieć. Pytała czem będę — syn adwokata? Powiedziałem jej, że chciałbym być w Wiedniu agentem. Znalazła to na swoim miejscu. Zachęcała mnie do nauki, mówiła, iż ma bardzo piękną książkę do czytania, a gdy dobrze się poprowadzę, zapisze mi ją w ostatniej woli.

Gyuri zaczął się kręcić niespokojnie.

— Babcia znowu zeszła do testamentu — możebym mógł pójść bawić się nareszcie.

Dobra staruszka roześmiała się z tej naiwności; nie miała wprawdzie zębów, lecz śmiać się jeszcze mogła doskonale.

Wtem dziewczyna wezwała nas na podwieczorek. Stara panna ujęła poręcz krzesła na kółkach i potoczyła je do jadalnego pokoju, gdzie długi stół filizankami, bułkami i ciastkami zastawiono.

Zebrań było nader liczne. Ten wszedł z tych, ów z innych drzwi, dość że cały pokój się zapelniał, a wszyscy razem tworzyli rodzinę babuni.

Najstarszy syn jej, poważnie wyglądający mężczyzna z wysokim czołem i czarnymi oczyma, które mię przerażały, usiadł obok małżonki swojej, łagodnej, uprzejmej matki Gyuriego. Kolega mój posiadał jeszcze starszą siostrę, smukłą, bladą dziewczynę, którą niebawem rodzice mieli umieścić na pensyi, i braciszka u mamki na rękę.

Oprócz tych znajdował się tam młodszy syn babuni, oficer od piechoty; owdowiła synowa z synkiem i rumianą córeczką wyobrażającą sobie, iż skoro podrośnie stanie się także chłopcem. Wreszcie młodszy brat babki pensjonowany kapitan od huzarów z kawałkiem srebra umieszczonego w czaszce i córka jakiejś siostrzenicy, wówczas już przejrzała panna. Jeszcze jedna krewna, jak dowiedziałem się później, była w kuchni. Ta wszelako nigdy nie siadała razem z innymi, ponieważ jej nie lubiono. Ale dlaczego? — nie wiedziałem.

Gdy zajęliśmy miejsca przeznaczone, było nas osób czternaście, a pomiędzy tymi dwie tylko obce: towarzysza babuni i ja. Wszyscy inni należeli do rodziny.

(Ciąg dalszy nastąpi).